

Rozpoczął on szerzenie swych idei od tego, że urządził małe zebranie w swym mieszkaniu. Wzięło w nim udział 39-ciu ludzi z miasteczka najróżniejszych zawodów i stanowisk społecznych, poczynawszy od szoferów, a skończywszy na miejscowym sędziu. Gdy przedstawił swój program, nastąpiła chwila milczenia. Każdy z obecnych zastanawiał się nad tym, jak wielki problem czeka rozwiązanie i jak mali są ci, którzy do niego przystępują. Pó chwili miejscowy sędzia zabrał głos, podkreślając, że chwila obecna, to może najdenioślejszy moment w życiu uczestników. Po debacie uznano słuszność poglądów wnioskodawcy i zaczęła się agitacja. Robert Lee zwrócił się do prezydentów wyższych uczelni Stanów, którzy ze swej strony nawiązali łączność z byłymi wychowankami uczelni, zasiadającymi w obu Izbach ustawodawczych północnej Caroliny. Zainteresowanie wzrastało coraz więcej. W każdym miasteczku, w każdej wiosce i szlacheście dyskutowano nad sprawą światowego pokoju i światowej federacji. Dyskusje toczyły się w atmosferze ożywionej, ścięrały się z sobą zaognione argumenty, padały szyderstwa i inwektywy. W końcu projekt znalazł się przed komitetem Izby niższej a następnie przedostał się na plenum Izby. Tutaj zabrał głos jeden z najstarszych i najbardziej doświadczonych polityków i w krótkim przemówieniu wykazał, że pomysł jest absurdalny. W myśl konstytucji polityka zagraniczna stanowi wyłączną kompetencję Senatu całych Stanów Zjedn. w Waszyngtonie. Głaz ustawodawcze poszczególnych Stanów nie posiadają ani prawa, ani też kompetencji fachowej i zrozumienia, by w tak skomplikowanych zagadnieniach zabierać głos. Gdy skończył przemówienie, wydawało się, że cała sprawa jest pogrzebana. Na to wstał jeden z posłów, doskonały typ wysokiego, muskularnego Amerykanina, rzadko tylko zabierającego głos i w kilku słowach